9 NUMER. MAJ 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Pomnik roku 1863.

Nie stać jeszcze społeczeństwa polskiego na spiżowy pomnik styczniowego powstania — nie ma go też wspomnienie innych bojów o niepodległość narodu, nie ma go wreszcie całość okresu walki orężnej. A były by takie pomniki na placach Krakowa, czy Lwowa zbiorową czcią teraźniejszości dla zbiorowych wysiłków przeszłości.

Na placach Krakowa, czy Lwowa — bo o Warszawie — jeszcze dotąd myśleć nie można. Ale chyba czekać będziemy, bo nigdzie indziej stanąć nie może pomnik listopadowy, jak w Belwederze, pomnik styczniowy, jak na placu zamkowym, nigdzie indziej miejsce dla olbrzymiej kolumny wolności, jak na gruzach cytadeli warszawskiej.



Tymczasem na cmentarzyku weteranów styczniowego powstania we Lwowie stanął skromny kamienny pomnik, mający usymbolizować uczucia, jakimi jest Lwów przepełniony dla uczestników ostatniej walki o niepodległość i dla idei, która owemu czasowi przyświecała.

Wyrazem jej, przypomnieniem, znakiem i reprezentantem był przez długie lata na ulicach Lwowa, w czasie wszystkich obchodów narodowych chorąży towarzystwa uczestników powstania. Człowiek w szacie włościańskiej, o tajemniczem pochodzeniu, który z ziemi witebskiej przyniósł sztandar kulami poszarpany, który nigdy nie mówił o sobie, pracą rąk własnych żył i na każde zawołanie stawał do szeregu.

Jego wspomnienie uwieńczone zostało na pomniku. Sztandar i nie mniej sztandarem będąca chłopska siermięga wieńczy pomnik styczniowego powstania, a na złomie skalnym wiecznie żywa nadzieja: „Z prochów naszych powstaną mściciele“ i ku wiecznej rzeczy pamiątce nazwiska członków rządu narodowego, „tych, którzy niosąc swobodę ludowi ukraińskiemu, padli swych idealnych dążeń ofiarą, 10. maja, 28. kwietnia 1864 w Sołowijowce“ i nazwiska straconych przywódców powstania.

Pomnik jest dziełem rzeźbiarza p. A. Zagórskiego — a jego reprodukcja obok da wyobrażenie o całości, pięknej i symbolicznej.

ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

Mój król — mój Lud.

(Z cyklu „Ludu mój Ludu“).

Jak patrjarchów ród,
pasał po halach kwiecistych owce,
mój król, mój Lud!

grały mu głębie spienionych wód,
rozkołysane jałowce
i do niebieskich się piętrzące wrót
lodowce!...

a była w nim
potęga niespełnionych dni,
przyszłości cud
się w jego kołysał łonie

i serce grało, jak w zaklętym dzwonie!

w nadmiarze sił,
kochał się w różach tatrzańskich skał
i nieraz szał
w szum orlich lotów go wzbił!

a licznym był, jak skrzydła mew,
promienie zorzy, liście drzew,
jak na niebiosach gwiezdne hieroglify...

a czujnym był, jak skrzydlate gryfy
strzegące złota!...

grała mu w piersi natchnienia tęsknota,
szumy pancernych rycerzy,
więc stał na straży swoich chat,
jak na warownej wieży

i czekał na spełnienie lat!...

hej Jehowo!
zawarłem z Tobą ślub,
że nas przez Morze przewiedziesz Czerwone
i pójdziesz z nami, jak ognisty słup,
w Kanaan stronę! —

w szum skrzydła, kto w Boga wierzy!
Jehowo tęczę rozpal złotą
i niech przymierza grom uderzy,
jam Twój rab, serce mi wzbiera pychą
Jozue! — mój majestat Lud! —

tam oto,
drżą twe pałace w posadach Jerycho!...

Parę słów komentarza.

Pojawił się niedawno w pismach (por. n. p. „Przegląd“ nr, 87. z 17. kwietnia b. r.) zbiorowy, ostry „protest przeciw zmianie pisowni autorów“, podpisany przez długi szereg literatów i uczonych. Występuje on wogóle „przeciwko wszelkiemu fałszywemu zmienianiu pisowni autorów, któreby naruszało w czemkolwiek dźwiękowe wartości słów“, w pierwszym zaś rzędzie zwraca się przeciw Bukowińskiemu i Feldmanowi, jako wydawcom, z których pierwszy w przedruku wierszy Asnyka („Sfinks“ 1909. VIII.—IX.), drugi w „Wypisach literatury polskiej czasów najnowszych“, wprowadzili (obok innych pomniejszych „grzechów“) jako stały sufiks narzędnika liczby pojedyńczej przymiotników — końcówkę *ym, im* bez różnicy rodzajów. O ile chodzi o samą kwestję ortograficzną, podlega ona wciąż jeszcze dyskusji lingwistów. W sprawie jednak przedrukowywania poetów XIX. wieku, t. zn. poetów, żyjących w epoce, w której to jedynie, od Kopczyńskiego poczynając, obowiązywało rozróżnianie rodzajów w narzędniku l. poj. i mnogiej przymiotników *(ym, im, em, ymi, imi, emi)* i przemieniało się zwolna w prawo zwyczajowe, wychodzą autorowie protestu z założenia, że pisownia nie może „naruszać dawnych form“ i twierdzą, że: „By powiedzieć, że nie jest to zamiana tylko znaków konwencjonalnych, lecz zmienianie wartości fonetycznych, wystarczy przeczytać parę jakichkolwiek zwrotek (n. p. oktaw Słowackiego) i przekonać się, czy w całej ilości materjału narzędnika na *ym* lub *im* rymuje się ze słowem zakończonem na *em*. Pytanie retoryczne, na które autorowie protestu odpowiadają milcząco w sposób przeczący i autorytetem Słowackiego popierają swą argumentację. Ta jednak właśnie podpórka konstrukcji protestu chroma i dlatego chcę tu — nie wdając się zresztą najzupełniej w samą kwestję ortograficzną, ani też w kwestję, jak należy przedrukowywać i wydawać poetów XIX. w. wogóle — zwrócić uwagę na to, że analiza dokładniejsza rymów Słowackiego może do ciekawych doprowadzić wniosków, zgoła różnych od sensu moralnego owej filipiki.

Przypomniawszy sobie bowiem już podczas czytania protestu ową przepiękną strofę Słowackiego:

Kto cię nie widział nigdy Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżyw*em*
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzyw*ym*,
A gdzieś daleko brzmi burzanów morze,
Mogiły głosem wołają straszliw*ym*,

Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie — ...
(Beniowski. Pieśń V., oktawa 57.)

strofę zatem, która stwierdza wyraźnie, że jednak i autor „Króla Ducha“ rymował narzędnik przymiotnika na *ym* „ze słowem zakończonem na *em*“ — nie zadowoliłem się w dalszym ciągu odczytaniem kilku oktaw, lecz przeprowadziłem śledztwo dokładniejsze. Na świadków powołałem „Godzinę myśli“, „W Szwajcarji“, „Wacława“, „Ojca Zadżumionych“, „Poema Piasta Dantyszka o piekle“, „Beniowskiego“ (Pieśń 1.—5.) i „Króla Ducha“ (Rapsod pierwszy) — uwzględniałem tylko rzeczy wydane za życia poety z pominięciem utworów młodzieńczych i dramatów, gdzie doskonałość formalna wiersza mniejszą gra rolę — a oto rezultat tych poszukiwań:

Na ogół rymów przymiotnikowych, kończących się na *ym, im, em, ymi, imi, emi,* używa Słowacki bardzo rzadko. Na wiele tysięcy wierszy w wymienionych powyżej poematach rymów tego rodzaju znalazłem ogółem tylko 43, a w szczególności narzędnik liczby pojedyńczej przymiotnika występuje na końcu wiersza 25, analogiczna forma liczby mnogiej 18 razy. Najwięcej jeszcze liczy ich „Poema Piasta Dantyszka o piekle“ (14), w innych poematach liczba ich wynosi 3 („W Szwajcarji“, „Wacław“, „Ojciec Zadżumionych“), 4 („Godzina myśli“, „Król Duch“) i 12 („Beniowski).

Przytoczona powyżej strofa z „Beniowskiego“ nie jest wyjątkowem u Słowackiego zjawiskiem, jakiemś potknięciem się chwilowem poety, do którego rym sam się miłośnie naginał. Owszem w 25 zauważonych przezemnie przykładach na rymowanie narzędnika liczby pojedyńczej przymiotników 9 razy zawodzi Słowacki nadzieje autorów protestu. W „Beniowskim“ więc (Pieśń IV., oktawa 23.) rymuje „...w szturmaku on*ym* Widział przybitą kulę czemś czerwon*em*“, o kilkadziesiąt strof dalej (oktawa 56.) mówi o grobowcu późn*ym,* czole groźn*em* i dreszczu mroźn*ym*; wierzy w odpuszczenie win „wodzom grzeszn*ym*“ i w zmartwychwstanie sejmu, które będzie niezwykłym „fenomenem wskrzeżn*ym*“, bo sejm jest „bardzo śmieszn*em* ciałem“ (P. V. 54.) W „Ojcu Zadżumionych“ słońce w niebie lazurow*em* wschodzi za lasem palmow*ym*, a w „Poemacie Piasta Dantyszka o piekle“ starzec „w kontuszu wytart*ym*“, „z sercem na zemstę... długo upart*em*“ płynie po fali krwi męczeńskiej i błyszczy łysiną „ludziom potępion*ym,* Jak biały księżyc na morzu czerwon*em*“, nazywa człowieka „wędrownikiem na polu szerok*iem*“, który „odchodząc, płakać nawet nie ma po k*im*“ i mówi o trupie, uciekającym „w złotej koronie i płaszczu czerwon*ym*“ „z czołem... obrócon*em*“ na gwiazdę sumienia.

Narzędnikiem liczby mnogiej przymiotników posługuje się Słowacki jako rymem w uwzględnionych przezemnie utworach 18 razy, jak zaznaczyłem już powyżej, przyczem w 15 przypadkach drugim (względnie trzecim w oktawie) rymem jest wyraz ziemi, bez względu na to, czy dany przymiotnik odnosi się do rzeczownika rodzaju męskiego czy nijakiego. Swertyna n. p., słysząc wyrzuty Sawy,

Nie rzekła na to nic; lecz zamyśloua
Wstała, cmoknęła i ptaki srebrn*ymi*
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,
Pokłoniła się bratu aż do zi*emi;*
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,
Jak brzoza listki wiejąca złot*ymi*
Wstała...
(Beniowski. V. 40.)

I przymiotniki różnych rodzajów stawia Słowacki obok siebie, jak n. p. w „Królu Duchu“ (R. I., P. I. 32.):

A jednak ty się nie cofasz przed ni*emi?* [krwa-
[wemi plamami]
A choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi?
Ale jak żóraw skrzydłami ciężk*iemi*
Próbujesz nowej po błękitach drogi.
Między głazami dawniej czerwon*ymi,*
Między miesiącem i polnymi głogi
Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli jak sny przelatują...,

w „Beniowskim“ (Pieśń III. 60.) lub „Poemacie Piasta Dantyszka...“ (ni*emi* t. j. różyczkami — włosami złot*ymi);* na ogół zaś w 8 wypadkach wykracza przeciw czystości rymów, jeżeli przyjmiemy ścisłe rozróżnianie rodzajów i różnice w zakończeniach narzędnika.

Dla Słowackiego jednakowoż narzędnik liczby mnogiej przymiotnika miał zawsze dźwięk *emi* bez względu na rodzaj, co stwierdza choćby owo niemal stałe rymowanie: ziemi. Narzędnik zaś liczby pojedyńczej na rodzaj nijaki miał dla niego wartość fonetyczną *ém.* E pochylone w pierwszej połowie XIX. w. jeszcze w całej pełni odczuwano (żyje ono w mowie potocznej i po dziś dzień, czego dowodem małym, a smutnym choćby owo „kobita“, stałe na scenie lwowskiej nawet w ustach największych artystek i artystów), Słowacki więc, który rymował bardzo często: świty — kobiety, dziewico — świecą, myślą — przekreślą, błądzicie — dziecię, Kazimierz — drzemiesz, dopiero — satyrą, a nawet

I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczy kończą tak, jak Walter w Gotym
(Beniowski. I. 75.),

był uprawniony do rymowania *ym — em,* gdy różnica dźwiękowa tych zakończeń była za dni jego o wiele mniejszą od wzrokowej, utrwalonej pisownią. Wyjątkowo tylko końcówka *em* miała u niego walor równy dzisiejszemu, bo spotykamy też trzykrotnie rym: oblicz*em* — nicz*em* („Godzina myśli“, „Wacław“ XXXII., „Poema... Dantyszka...“), rym: o t*em* — lot*em* („W Szwajcarji“ XXI.), i: dotknięciem sin*em* — syn*em* („Ojciec Zadżumionych“).

To też i przed Feldmanem w wydaniach Słowackiego brak pod względem końcówek narzędników l. poj. i mnog. jakiejkolwiek konsekwencji. Górski przynajmniej — jego bowiem wydanie mam

pod ręką — idąc, jak zaznacza w przedmowie (tom I., str. XVII), za pierwodrukami, w liczbie mnogiej stale używa zakończenia — *emi* bez względu na rodzaj, z jednym tylko jedynym wyjątkiem: usty różan*ymi* — zi*emi* („Król Duch“ R. I., P. II. 23.), narzędnik zaś l. poj. przymiotnika rodzaju nijakiego oddaje dla rymu w trzech wypadkach przez sufiks — *ym,* w trzech wprowadza *ém*, w innych zachowuje *em*, choć rym odpowiedni ma końcówkę *ym*. Nie miałem teraz w ręku wydań, uskutecznionych pod okiem Słowackiego, i nie mogę twierdzić, czy i w nich panuje pod tym względem chaos podobny; rzecz to jednak małoważna, gdyż z powyższego już przedstawienia wynika, że owa różnolitość zakończeń była dla poety tylko znakiem konwencjonalnym, który przedstawiał dla niego wartość fonetyczną: *ym, ém, emi*. Dlatego też gdy przy zastosowaniu pisowni, o jaką autorowie protestu walczą, rym Słowackiego w owych 43 wypadkach okaże się aż 17 razy niezupełnie poprawnym, zmieniłby się ten stosunek przy konsekwentnem wprowadzeniu pisowni *ym* w narzędniku l. poj., *emi* w liczbie mnogiej (a tak formułuje postulat ortograficzny n. p. Kryński w „Gramatyce języka polskiego“, Warszawa 1903. str. 335.—338.) tak znacznie, że tylko w 5. wypadkach, podanych wyżej, w których rymuje się przymiotnik, względnie zaimek rodzaju nijakiego z rzeczownikiem, czystość rymu nie byłaby zupełną; pisownia bowiem tego rodzaju byłaby najbliższem prawdy odbiciem dźwięków rymowych Słowackiego.

O ile chodzi o poetów późniejszych, z drugiej połowy XIX. w.. Asnyka n. p., analiza dokładniejsza doprowadziłaby prawdopodobnie do innych rezultatów, gdyż przy zamieraniu *e* pochylonego odczuwano już (jak i dziś do pewnego stopnia odczuwamy) różnicę zakończeń *ym* i *em, ymi* i *emi* i dlatego fungowały one jako rymy odmienne. Zaznaczyłem jednak już na wstępie, że nie ośmielam się zabierać głosu w kwestji, jak należy wydawać poetów XIX. w. wogóle; chciałem tylko dać kilka słów komentarza do owego protestu, określić stanowisko Słowackiego wobec pisowni Kopczyńskiego i przez to dorzucić może parę uwag drobnych do kwestji rymów u największego mistrza formy w poezji polskiej.

Al. Rutkowski.

Zamek w Tokach.

Dzienniki rozniosły lakoniczną wiadomość: Sąd powiatowy w Podwołoczyskach sprzedał w drodze licytacyjnej ruiny starożytnego zamku w Tokach nad Zbruczem. Nabywcą jest p. Czaczkes. Wartość ruin, jako materjału budowlanego, oszacowano na 2.000 koron.

Oto jest typowa historja zabytków przeszłości na ziemi naszej. Pod uderzeniem licytacyjnego bębna rozwiewa się przeszłość i pustka zostaje na ziemi, i wrażenie, jakoby nic tu przedtem nie było.

Zamek w Tokach zwał się dawniej zamkiem ożegowieckim, a ta niestałość nazwy jest echem podziałów Polski, krajania jednolitego organizmu. Ożegowce albo Orzechowce jest to miasteczko na obu brzegach Zbrucza położone. Na lewym brzegu leżało samo miasteczko, na prawem jego przedmieście Towarki, albo Toki. Przy pierwszym podziale Polski miasteczko dostało się Rosji, jego przedmieście Austrji. I stąd przedmieście stało się samoistną gminą, Toki.

Po północnej stronie wsi Toki, na wyspie oblanej dokoła stawem Zbrucza, zbudował w siedmnastym wieku ks. Jeremi Wiśniowiecki obronny zamek. Razem z zamkami w Zbarażu i Wiśniowcu, miał on stanowić trójkąt fortyfikacyjny dla obrony tego kąta ziemi, oraz spichlerz dla okolicznej ludności na czasy wojenne.

W czasach świetności swojej tworzył zamek w Tokach trójkąt różnoboczny, o trzech narożnych, wystających basztach, z których południowa była pięcioboczna, a zachodnia i wschodnia półkoliste. Obok wschodniej baszty od strony południowej przytykała do murów zamkowych czworoboczna brama zamkowa, zwana żelazną.

Po księciu Jeremim Wiśniowieckim, siedzieli na zamku w Tokach potomkowie jego Dymitr i Michał Serwacy Wiśniowieccy, po których w r. 1744 zamek wraz z majątkiem przeszedł na Czarneckich, kasztelaniców bracławskich, a mianowicie na Ignacego Czarneckiego. Za jego i jego następców czasów rozebrano i zniszczono ulubione zacisze rodu Wiśniowieckich, a obecnie ruiny jego z dobrze jeszcze zachowanymi basztami i murami, oceniono jako materjał budowlany na... 2000 kor.!

Tradycja Wiśniowieckich zdaje się przetrwa wśród ludu okolicznego dłużej niż zamek. Świadczą o tem zebrane przez jednego z kierowników tamtejszej szkoły w „Tece konserwatorskiej“ pieśni spiewane przez lud ruski, potomków wolnych Kozaków, osadzanych tu przez ks. Jeremiego Wiśniowieckiego. Bardzo charakterystyczną jest zwrotka następująca, w której Wiśniowiecki występuje jako Jarema, a Chmielnicki, jako Chmil:

„Ne żurysia nasz Jarema,
„Pobjem Chmila, pobjem Chana.
„Nim mene szesta nedila
„Ne stane wże Chana, Chmila...

Z tragedji szkolnych.

(*Emil Strauss:* Przyjaciel Ryś. Historja życia. Autoryzowany przekład z niemieckiego. W. Jankowskiego. Śniatyn 1909).

W ostatnim czasie wyszła w przekładzie polskim książka, której autorem jest znany literat niemiecki Emil Strauss a tłómaczem p. Władysław Jankowski, profesor gimnazjalny w Łańcucie. Jak tytuł wskazuje jestto historja życia i to życia młodego, pełnego najlepszych nadziei a starganego przedwcześnie. Przeznaczenie, któremu to życie idzie na ofiarę, utaiło się tym razem w murach szkolnych i nielitościwym uściskiem spaczonych zasad wychowawczych objęło duszę młodzieńca, skazanego na przedwczesną śmierć dlatego, że nie dorósł do wymagań szkolnych lub nie chciał iść przebojem i krętemi ścieżkami do celu. Powieść Straussa porusza najżywotniejszą i aktualną zawsze stronę wychowania, którą możemy streścić w pytaniu: „Jaką powinna być szkoła i wychowanie i jakie ma szkoła stawiać wymagania w zakresie poszczególnych przedmiotów, ażeby z powierzonej jej młodzieży wyrosły zastępy dzielnych i pożytecznych jednostek społecznych?“ Autor nie odpowiada wprost na to pytanie, ale daje do zrozumienia wcale dosadnie, że obecny system szkolny daleki jest od ideału, że wartość jednostki społecznej nie polega wcale na ilości wiedzy i na tem, czy ona w całej rozciągłości odpowie wymogom dzisiejszego szkolnictwa, lecz na umiejętnie i celowo wyzyskanych zdolnościach indywidualnych, chociażby te zdolności nie były równoważone w innym kierunku dodatnimi rezultatami. A więc powieść Straussa to typ tak częstej dziś powieści o tendencjach społecznych, powieści niedługiej, ale zato plastycznymi rysami z talentem nakreślonej i opartej na głębokich studjach duszy młodzieńczej. Oto młody chłopak Henryk Lindner, zdrobniale nazywany Rysiem, nerwowy i wrażliwy, natura nawskróś artystyczna, charakter wysoce etyczny, przytem niepospolity talent muzyczny, doświadcza na sobie całego tragizmu konwencjonalnej nauki szkolnej. Wytrwałą i sumienną pracą przyswaja sobie Ryś wymaganą wiedzę szkolną, tylko opornie idzie mu nauka matematyki. Ta matematyka, jedyny szkopuł, bruździ mu w ostatnich latach nauki na każdym kroku i to nietyle z powodu zupełnego braku zdolności do niej jak raczej z powodu wymagań profesora, sumiennego lecz bezwzględnego sędziego, który nie ogląda się na inne zalety i postępy chłopca i nie chce zrozumieć, że bez matematyki może ktoś być pożytecznym człowiekiem. Chłopak uczy się i robi, co może, lecz nie jest w stanie pokonać trudności, wskutek czego otrzymuje złe stopnie. Najwyższą łaską, ożywczym zdrojem życia byłaby dlań muzyka, której w wolnych chwilach oddaje się z zapałem, ale cóż, jest studentem i musi cały zasób sił swoich poświęcić matematyce i w dodatku jeszcze nie osiąga promocji. Inaczej postępuje jego kolega Notwang, chłopiec w gruncie rzeczy uczciwy, lecz mający o życiu dokładniejsze wyobrażenie. Podczas gdy Ryś odrzuca od siebie wszelką myśl przepychania się przez cenzury cudzą zasługą, Notwang bez skrupułu odpisuje zadania na pauzach i wyzyskuje najmniejszą drobnostkę w celu ułatwienia sobie i drugim sytuacji. Poza tem jest to chłopak niezły, ale jeden z takich, dla których sprężyny życia i życie całe już we wczesnej młodości nie są tajemnicą... Ojciec Rysia, adwokat, również nie rozumie dziecka i stara się nawet przeszkodzić jego artystycznym skłonnościom, byle tylko Ryś tę nieszczęsną matematykę pokonał. Jedynie matka, wiedziona kobiecą delikatnością i macierzyńską wyrozumiałością przeczuwa, co się dzieje w duszy dziecka. „Ta szkoła! — duma nieraz — poco człowiek musi się uczyć tylu rozmaitych rzeczy, o których niejeden ani pomyśli! Znam przecież rozsądnych i uczonych ludzi a jeszcze nigdy nie widziałam, aby mieli co do czynienia z matematyką!“ Proste te uwagi matki, niedoceniającej oczywiście formalnego wpływu przedmiotu, zawierają jednak głęboką myśl, że przecież temu szlachetnemu i dobremu dziecku dzieje się wielka krzywda z powodu jednostronnej oceny jego wartości. Tymczasem Ryś chodzi do szkoły i ze zdwojoną energją zabiera się do opanowania trudnego dlań przedmiotu, wreszcie gdy nie może mu podołać a w osobistej rozmowie z profesorem matematyki nie dochodzi do porozumienia — odbiera sobie życie.

Taka jest treść powieści.

Nie tyle sama kompozycja i forma literacka, nie tyle nawet piękne epizody, w które obfituje powieść, jak przedewszystkiem aktualność przedmiotu pociąga czytelnika do tej książki. Problem wychowania dzisiejszej młodzieży, uchwycony w głównych rysach, nabrał dzięki autorowi wielkiej plastyczności. Książka otwiera oczy na niejedną piekącą, bolesną sprawę. Zapomnijmy, że chłopak nazywa się Lindner, że mowa tam o primach i sekundach, że nazwiska i sposób życia osób działających wskazują na niemieckie pochodzenie książki a zostanie czysta treść, dająca się odnieść do każdego dzisiejszego kulturnego społeczeństwa. Autor, jeden z „młodszych“, Szwab z nad jeziora Bodeńskiego, znany jest czytelnikom beletrystyki niemieckiej z kilku swoich powieści, ocenionych w swoim czasie w Bibljotece warszawskiej. Nasza książka, mająca w oryginale tytuł „Freund Hein“ — to czwarte dzieło Straussa, dzieło, które w r. 1906 doczekało się już czternastego wydania. Najlepszy to dowód wartości wewnętrznej dzieła. Nie ulega wątpliwości, że we wzorowym i płynnym przekładzie prof. Jankowskiego, znajdzie ono i u nas należyty oddźwięk w sercach tych, dla których dobro szkoły i przyszłego społeczeństwa nie są czczymi wyrazami. Prof. Jankowski oddał literaturze naszej prawdziwą przysługę swojem tłómaczeniem, tem większą, że posiadamy niewiele dobrych powieści,

łączących w sobie szerszy pogląd na wychowawcze cele szkoły z poprawnem opracowaniem literackiem. Powieść Straussa jednoczy w sobie obydwie te zalety, dlatego też uważaliśmy za stosowne zwrócić na nią uwagę czytelników. Szczególnie polecić należy tę książkę wszystkim wychowawcom młodzieży. Może niejeden po przeczytaniu jej pomyśli o przyszłości powierzonego sobie dziecka czy młodzieńca i nabierze przekonania, że siła wychowawcza nauczanego przedmiotu tkwi nie w ilości faktów podawanych jak raczej głównie w poznaniu pewnej celowej prawidłowości, zawartej w tym przedmiocie a wyzyskanej umiejętnie przedewszystkiem dla formalnego wykształcenia. *W. P.*

MALUCZCY.

(Ciąg dalszy.)

A wszakże ile razy myślą w zaświaty uchodzę, lub w wieczór okiem błądzę po gwiazdach i widzę dłoń przyczynowości wiążącą ogniwa światów i istnień — wówczas wierzę sercem, że nie samotnem, nie bezcelowem, nie zerwanym akordem było istnienie jego na ziemi, lecz nieśmiertelną nutą, wplecioną w pieśń przez wszystkie czasy, po wszystkie wieki śpiewaną przez ludzkość — przez tę część ludzkości, której duchy ku Bogu płyną, a nam tu grzesznym na ziemi głosem swym i żywotem „ścieżki prostują“.

II.

Kiedy właściwie Wincenty Boksza zamieszkał w Lesińcach, niktby wyraźnie określić nie potrafił. Możnaby powiedzieć, że wpłynął niepostrzeżenie i również niepostrzeżenie wplótł się w życie dworu, nie zabierając w nim wszakże widocznego miejsca. Przywędrował któregoś dnia, nikt nie pamiętał kiedy, dano mu nocleg, przebył dzień, i drugi — a potem jakoś nieznacznie pozostał na zawsze, zajmując niezamieszkałą dotąd izdebkę w oficynie, między spiżarnią i kuchnią, gdzie stary kucharz przechowywał skórki zajęcze, resztki suszonych grzybów i pęki smolnego łuczywa, szczególnie dobrego do rozpalania ognia kominkowego.

Izdebkę z rozkazu pani z czasem oczyszczono, znalazło się jakieś nie nazbyt stare łóżko, tapczan z izby furmańskiej, stół stał i przedtem — a pobożna ochmistrzyni dała stary, zczerniały obraz jakiejś świętej głowy, ciepłą kołdrę i dużą w kwiaty filiżankę do herbaty.

Z nastaniem wiosny już sam Boksza przyozdobił przybytek swój wiciami pękających brzóz młodych, co przedziwną wonią napełniło izdebkę a jemu, jak twierdził, zbawiennie działało na nogę, którą, idąc o kiju, nieco powłóczył za sobą.

Również z nastaniem wiosny w mieszkaniu Bokszy pojawiło się mnóstwo ziół wszelakich: czombru, macierzanki, goryczki, nawet całe krzaczki poziomek i czarnych borówek, które wszystkie suszył pęczkami na sznurku pod pułapem, a które później hojnie rozdawał babom wiejskim, zabiegającym po nie dość często; po kątach izby, na ławie i na półkach była moc rozmaitych prętów i patyków, po które w cieplejsze poranki robił wyprawy do pobliskiego lasu. Z patyków tych, brzozowych, sosnowych, klonowych — nawet gruszy i lipy tu nie brakło — sporządzał Boksza przedziwne rzeczy, co izbę jego, oprócz znamion aptecznych, przemieniało w warsztat tokarsko-stolarski i nieraz ciekawych ludzi w progi jego znęcało.

Niegdyś Boksza musiał być barczystym i wysokim mężczyzną, lecz dziś postać jego mizernie zmalała; pochyliły się chude ramiona, szarą kapotę, niby rodzaj czamary, coraz ciaśniej na piersi zapadłej otulał, coraz szczuplej pasem skórzanym ściągał. O odzież staranny był niezmiernie — nie miał innej na zmianę, a lubił nosić się czysto i nie obdarto; plama na kapocie, nie dość czysty kołnierz płótnianej koszuli lub zmięta czapka sprawiały mu smutek głęboko-dziecinny, graniczący niemal z boleścią. Czarną chustkę, prawie jedwabną, którą na wszelki sposób utrzymywał w dawnej świeżości, lubił wiązać z fantazją, co przy długich, spadających na kołnierz włosach śnieżno-białych nadawało wygląd niezwykły i piękny.

W ramie srebrnych włosów jaśniała twarz z rumieńcem i bujnym wąsem, przedziwnie pogodna. Głębokie bruzdy czoła, starcze usta, zmęczone, głębokie oczy nie ujmowały nic z tej pogody, co zdawała się z głębin wypływać na powierzchnię i przebijać się stale w jasności policzków, w szczerem wejrzeniu, w uśmiechu niemal dziecięcym, tak poczciwym.

Był bardzo cichy. Osobą swoją nie wchodził w drogę nikomu i niczemu; zdawało się, jakby wcale nie zajmował przestrzeni, tak był nienarzucający się. Zrazu dostawał pożywienie z tak zwa-

nego drugiego stołu, lecz w bardzo prędkim czasie pani zaczęła mu przysyłać to talerz pożywnego rosołu, to kęs miękkiej pieczeni, a pokojowa, niemłoda już dziewczyna i jedyna katoliczka wśród prawosławnej służby, często umiała przysłużyć się staruszkowi, swemu współwyznawcy, jakimś przysmakiem, lub porcją leguminy czy też jarzyn z pańskiego stołu, które on nad wszystko lubił. Przynosząc mu te dary uprzejmie, niemal z nieśmiałością, pozdrawiała go zawsze „pochwalonym“ i postawiwszy talerz na stole, rozpoczynała gawędkę, zawsze tyczącą się książek, które na półce przy łóżku wraz z krzesiwem i narzędziami do pracy spoczywały. Były to bardzo stare i wysłużone księgi — kancjonał, gotykiem tłoczony, małe kantyczki, w skórę oprawne, Żywoty świętych, już zębem czasu znacznie nadszarpnięte. Rozmowa wszczęta od ksiąg zbaczała na miejsca cudami słynące, na pielgrzymki święte, pątników i pustelników, legendy i nawet pieśni dziadowskie. Boksza, jak widać, dużo kręcił się po kraju, a zapewne i poza krajem, nieblisko.

Stałemi wszakże łaskami obdarzała Bokszę ochmistrzyni. Jak wielu wyznawców wschodniego kościoła, mistyczka ze sporą domieszką zabobonności, w osobie Bokszy widziała coś tajemniczo-legendarnego; imponował jej pewną wyższością kulturalną, jednał prostotą i łagodnością a cześć ku sobie wzbudzał odczytywaniem ksiąg świętych, co często czynił, zwłaszcza w długie wieczory zimowe.

Zasłyszawszy z sieni kuchennej rytmiczny szmer półgłośnego czytania, często bardzo rzucała kucharzowi wydany materjał spiżarniany, spiesznie ocierała fartuchem ręce i poprawiając chustkę na wiecznie starganych włosach, już wzdychająca przekraczała wysoki próg izdebki Bokszy. Zdarzało się nieraz, że nieśmiało wsuwała się za nią Malwina.

Wówczas mieszkanie Bokszy przeistaczało się w jakiś refektarz klasztorny. Gdy rozdział Żywotów został odczytany, Boksza zamykał księgę, wielkie, w róg oprawne okulary posuwał na czoło i zwróciwszy się twarzą do czerniejącego nad łóżkiem krucyfiksu, intonował: Gorzkie żale, W żłobie leży lub Zawitaj gwiazdo morska, stosownie do pór roku i terminów kalendarzowych.

Ochmistrzyni, po drugiej stronie stołu zajmująca miejsce i przykucnięta przy kominku Malwina, podchwytywały podaną nutę, ta cienko, tamta żałośnie i pieśń święta, chociaż nie zupełnie zgodnie, niemniej żarliwie, rozbrzmiewała swobodnie w bielonych ścianach szczupłej izdebki. Rozgrzany ciepłem kominka, niekiedy wtórował im świerszczyk z zapiecka; ogień przygasał, migotał, strzelił iskrami, gdy Malwina poruszyła dopalające się drewka; po ścianach, po ciemnych kątach, po deskach podłogi przelatywały łuny czerwone, odbiły się w szybach okienka, na ramie obrazu, na księgach półki i znów zmierzch napełniał izdebkę, w której malutka lampka zaledwo krąg stołu zdołała rozświetlić.

Podczas śpiewania pojawiały się zwykle jeszcze dwie istoty. Drzwi otwierały się cichutko i przez wąską szparę naprzód wysokość progu przestępowały obszerne buty, a potem z ciemności sieni wynurzała się biała i rumiana twarz małego wyrostka, o nastrzępionej jak strzecha płowej czuprynie, z pod której żywym ogniem świeciły dwa niebieskie spojrzenia. Z chłopakiem nieodłącznie wsuwał się Burek i gdy chłopak zajął zwykłe swe w kącie izby na pękach brzeziny siedzenie, pies siadał przed nim, wtykał mu pyszczek między kolana i źrenic z oczu jego nie spuszczał.

Przez cały czas śpiewów tkwili tak na swoich miejscach nieporuszeni i zasłuchani, aż oczy dziecka przenosiły się z twarzy starca na ogień kominka, na błyski krzyżyka, na przestrzeń zgoła nieuchwyconą i zwolna nabierać zaczynały nawpół mistycznej, nawpół rozmarzonej głębi.

Nieraz spora część wieczoru upływała na tych pieśniach u Bokszy. To ten, to ów ze służby zaczął przebąkiwać o tych „polskich“ pieniach, już i w sąsiedniej wiosce coś nie coś o tem gadano — lecz tu ochmistrzyni umiała rozwinąć czujną i skuteczną zapobiegliwość; wiedziała jak i w czem i komu dogodzić, czem ująć podejrzliwych albo niechętnych — i podejrzliwość gasła, wieść o „pieniu“ we dworze nigdy do uszu stróżującego „urjadnika“ nie doszła.

Obie kobiety czuwały nad Bokszą, bacząc, aby mu w skromnych jego potrzebach czego nie zbrakło, podglądając dyskretnie jego ubóstwo, uprzedzając nędzę. Wywdzięczał się im, jak mógł — słowem, pieśnią, modlitwami, wreszcie przedziwnymi tworami swej ręki. Przedziwne były istotnie i zdumiewające, w tym głuchym zakątku leśnym niewidziane nigdy.

Lasy okolne i zapobiegliwość obu kobiet dostarczały mu artykułów wyrobnictwa. Ochmistrzyni i pokojowa obdarzały go mnóstwem większych i mniejszych, nawet wcale małych flaszek, opróżnionych po zapasach spiżarnianych lub toaletowych, lasy dawały obfitość klocków drewnianych i patyczków. Z patyczków Boksza rzeźbił przedziwnie Mękę Pańską, krzyż, nawet Chrystusa na

krzyżu, narzędzia męki, a często postacie Matki Boskiej, Magdaleny lub którego apostoła. Wszystko to wygładzone, niekiedy pomalowane różnobarwnie, spojone ze sobą nieruchomo, cudem jakimś znajdywało się we wnętrzu flaszki nieuszkodzonej i nienaruszonej. Przypominało to bardzo wyroby japońskie i chińskie, owe cuda zręczności i cierpliwości, jakkolwiek z mniejszym artyzmem wykonane. Flaszeczkami temi Boksza obdarzał dwór cały; więc naprzód panią i wszystkich jej domowych, potem wszystkich oficjalistów i całą służbę, do najpospolitszego chłopaka przy stajni, do małej gęsiarki sieroty; wszyscy byli zadowoleni, nikt nie czuł się skrzywdzonym. Naturalnie ochmistrzyni i Malwina otrzymywały więcej i co lepsze; także i ogrodniczek Jasiek, który zwykle kręcił się koło starego i potruchu mu usługiwał.

(C. d. n.). *Wanda Dalecka.*

PRZEGLAD PIŚMIENNICTWA.

Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne w ostatnim numerze, przynoszą między innymi ciekawe szczegóły o herbie miasta Przemyśla. Herb ten przedstawia niedźwiedzia, kroczącego na czteru łapach, nad którym gwiazda sześciopromieuna. Z artykułu p. Kazimierza Osińskiego wynika, że wspomniana gwiazda nie była zawsze motywem pieczęci miasta. Miasto posiadało dwie pieczęcie: urzędu radzieckiego z niedźwiedziem i krzyżem graniastym u góry — oraz urzędu sądowego wójtowsko-ławniczego z niedźwiedziem i gwiazdą sześciopromienną u góry. W drugiej połowie XVII. wieku motyw krzyża zastąpiono gwiazdą w pieczęci radzieckiej i odtąd po dzisiaj pieczęć miasta zostaje niezmienioną, a zwłaszcza od r. 1789.

Ponadto przynosi majowy numer „Wiadomości“ obok artykułów, będących dalszym ciągiem prac już poprzednio rozpoczętych, także informację o kilku nieznanych odmianach trojaków koronnych z r. 1595—1597. Trojaki te w czteru swoich typach pochodzą ze zbioru p. Henryka Mańkowskiego w Osinie.

Książnica naukowa i artystyczna zaznacza swą wydawniczą działalność od początku istnienia bardzo dodatnio. Jako pierwszy tom wydawnictwa dano — dziś do rzadkości należące — sześć wykładów Cyprjana Norwida o Słowackim, z dodatkiem niezmiernie ciekawego rozbioru Balladyny. Jest prawdziwą zasługą „Książnicy“ że rzeczy te przypomniała i udostępniła szerszej publiczności, choćby tylko traktować należało publikację Norwida jako przyczynek do charakterystyki myślenia tego niezwykłego poety o jednem z tytanicznych zjawisk naszej literatury.

Wysoką wartością zaleca się tom II. wydawnictwa zawierający „Przedstawicieli ludzkości“ Ralfa W. Emersona. Emerson, wielki amerykański myśliciel, zmarły przed 27 laty znany jest u nas zbyt mało. Jako filozof, reprezentant kierunku idealistyczno-indywidualistycznego, odznacza się niezwykłą siłą i pięknością słowa i jest jednym z najbardziej pobudzających do samoistnego myślenia pisarzy. — Wymieniona rozprawa tłumaczona już raz była na język polski w r. 1871 w Warszawie. Powtórne jej poprawne tłumaczenie jest zupełnie żywotne. Następny tom wypełnia bardzo pouczająca i zajmująca rozprawa uczonego niem. prof. Vollersa o „Religiach świata w ich związku dziejowym“. Wreszcie tom czwarty stanowi obszerna, ściśle a przystępnie pisana rzecz o „współczesnych filozofach“ przez znanego prof. kopenhaskiej wszechnicy Haralda Hoefdinga. Książka informacyjnie zwłaszcza godna polecenia. Tak dobór dzieł, jak i ich staranne, estetycznie zupełnie zadawalające wydanie, oraz niska cena świadczą o intencjach „Książnicy“ korzystnie i zasługują na pochwałę i poparcie ogółu.

NOTATKI.

Znaleziona książeczka. W jednej z cel więzienia w Ołomuńcu znaleziono malutką, szarą książeczkę, rodzaj notatnika z wielu autografami uczestników ostatniego powstania. Dziś znajduje się ta książeczka w posiadaniu p. Zygmunta Drągowskiego we Lwowie, jako rzewna pamiątka po ludziach, którymi wróg miotał na olbrzymiej przestrzeni kaźni od Syberji aż do Ołomuńca. Z kart książczyny da się odczytać jeden rozdział dziejów naszej martyrologii, o wielu słowach niedopowiedzianych, będących zagadką. Niejaki Stattler, przed powstaniem styczniowem urzędnik koleji warszawsko-wiedeńskiej przez lat 20, potem więzień cytadeli warszawskiej i wygnaniec na Syberję, w ciągu długiej drogi na wygnanie zbierał na pamiątkę podpisy towarzyszy niedoli, z którymi się spotkał i tych z którymi mieszkał przez lat cztery w Ussolu na Syberji i z którymi zetknął się wreszcie w powrotnej drodze do kraju w r. 1868. Są tam nazwiska znane, jak Rogińskiego, dowódcy oddziału powstańczego, Czaplickiego, autora „Czarnej księgi“, Gieysztora, potem wielkiego miłośnika książek, oraz z mniej znanych: Adama Szajewskiego, dymisjonowanego sztabskapitana rosyjskiego, skazanego na 12 lat katorgi, Wawrzyńca Wiśniewskiego, właściciela dóbr Gomólin, w pow. piotrkowskim, Feliksa Maligowskiego, ks. Piotra Frankiewicza skazanego na 12 lat fortecy i wielu innych.

W jaki sposób ta książeczka, z którą syberyjski wygnaniec tak daleką odbył drogę, znalazła się wreszcie i porzuconą została aż w więzieniu w Ołomuńcu — niewiadomo. Nic też o tem nie mówi sama treść książeczki ani osoby, które na jej kartach swoje wpisały nazwiska.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.